ŁOWIEC POLSKI



Polesie. Fot. Wł. Korsak.

Barć na sośnie z „podwieszkami" od niedźwiedzi
(rząd zaostrzonych kołów wiszących na około drzewa).

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

NR. 41 (595). WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ. 11 PAŹDZIERNIKA 1930 R.



Zamknięty samochód w cenie wozu otwartego!

I to w tej porze roku, w okresie słoty i częstych przymrozków.

Kryty model Sedan Chevrolet 6 kosztuje obecnie tylko Zł. 10.650 loco fabryka Warszawa. Za tę cenę dostaniesz samochód zamknięty, wóz, którym podróżuje się wygodnie bez względu na to, czy na dworze deszcz, czy śnieg, czy wichura. Obejrzyj wóz i przekonaj się osobiście jak nadzwyczajna jest to okazja, okazja, której ze względu na kieszeń, ze względu na zdrowie i wygodę pominąć nie można. Tylko ograniczona liczba wozów po tej cenie.

CHEVROLET 6

WYRÓB GENERAL MOTORS



Żubry w puszczy Białowieskiej.

O ŻUBRA W BIAŁOWIEŻY.

Wróciwszy po dłuższej, odpoczynkowej podróży, odczytałem pod powyższym tytułem zamieszczony artykuł w Nr. 35 „Łowca Polskiego", co do którego interesującym się tą sprawą czytelnikom mogę udzielić dalszych, uzupełniających objaśnień.

W początkach sierpnia b. r. odebrałem od p. Loreta, dyrektora L. P. w Warszawie, polecenie udania się, jako ekspert do Białowieży i to „w celu zaznajomienia się zarówno z terenem, jak i warunkami, w jakich przebywają żubry w utworzonym zwierzyńcu", gdyż pan Minister Rolnictwa ma powziąć ostateczną decyzję co do ulokowania reszty żubrów znajdujących się w Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie.

Nie chcąc sam przyjąć odpowiedzialności w tak ważnej sprawie, wezwałem do współudziału misji informacyjnej, prof. d-ra K. Wróblewskiego, fachowego bakterologa, znawcę puszczy z czasów przedwojennych, gdzie z polecenia akademji petersburskiej kilka lat przepędził na studjach badania życia, powstałych chorób i przyczyn zanikania królewskiego zwierza. Owocem tych studjów była wydana w r. 1927 przez Ogród Zoologiczny w Poznaniu w ozdobnem wydaniu ilustrowanem, cenna książka p. t. „Żubr puszczy Białowieskiej".

Do misji naszej przyłączył się jeszcze z polecenia Ministerstwa p. dyrektor dr. Żabiński, pod którego opieką znajdowała się reszta żubrów umieszczona w Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie.

Powołani delegaci poddali kilkagodzinnym, dokładnym badaniom położenie i stan zwierzyńca, jako i w nim znajdujących się zwierząt.

Ozdobna, stylowa brama otwiera wejście do dwudziesto hektarowego, silnym, trzy-metrowym parkanem otoczonego osiedla, zawierającego mieszany, przeważnie jednak liściasty, stary drzewostan z licznem podszyciem młododrzewia i pokrytą trawą polankę. Wielka szopa, posiadająca na strychu skład koniczyny, a spodem pienik do paszenia, służyć może jednocześnie za schronisko w razie niepogody. Z zewnątrz dopływający strumyk dostarcza potrzebnej do napoju, wody. Sam zwierzyniec, jak i jego otoczenie jest suche i nigdzie bagnistych miejsc nie zauważono. W pobliżu znajduje się leśniczówka, a w niej mieszkająca straż składa się z ludzi zaufanych. Pan dr. Wróblewski poznał w nich jako dawnych, jeszcze z czasów jego w Białowieży pobytu, znajomych łowczych, do odradzającej się stolicy królewskiego zwierzęcia szczerze przywiązanych leśników.

W zwierzyńcu zastaliśmy 4 żubry: jednego stadnika czystej krwi, jednego mieszańca i dwie krowy z domieszką bizona. Jedna z nich na ocieleniu, pokryta buhajem krwi czystej i wszystkie w dobrym stanie, w warszawskim zoologu pozostały zatem jedna żubrzyca czystej krwi i druga mieszana.

Oznaczenia te czerpię z książki rodowodowej „Międzynarodowego Tow. Ochrony Żubra", która na żądanie moje, Oddziałowi Polskiemu M. T. O. Ż. nadesłana została.

Ustaliwszy taki stan rzeczy, uchwalono jednogłośnie w interesie dalszej hodowli przedłożyć Ministerstwu następujące zmiany i uzupełnienia:

Aby uniknąć w myśl uchwał Międzynarodowego Tow. Ochrony Żubra, wszelkiego krzyżowania żubrzyc z mieszańcami, bezzwłoczne usunięcie bastarda ze zwierzyńca. Mogą one być pokrywane tylko z czystej rasy osobnikiem znajdującym się w zwierzyńcu. Rów-

cześnie natychmiastowe przewiezienie znajdujących się w stanie gonki, dwuch krów, czystej i mieszanej rasy z warszawskiego ogrodu zool. do Białowieży.

Tymczasowe skupienie w zwierzyńcu czystej i mieszanej rasy żubrów, należy jaknajspieszniej usunąć przez utworzenie dla czystej rasy, osobnego zwierzyńca, ile możności w poznańskiej Dyrekcji l. p. Należałoby też poznański ogród zoologiczny zniewolić do oddania w tym celu swojej żubrzycy, która tam w ciasnocie menażeryjnej pędzi bezpłodny żywot.

Co do żywienia, zaleciwszy pewne zmiany, przedewszystkiem wszakże uznana została konieczność usunięcia dopływu z po za zwierzyńca strumienia, stwarzającego niebezpieczeństwo wprowadzenia motylicy przez znajdującą się w puszczy zwierzynę.

Proponujemy nadto powierzenie przez Ministerstwo Rolnictwa panu doktorowi K. Wróblewskiemu opracowania indywidualnych dawek żywieniowych, na podstawie praktyki, wartościowości pasz, zapotrzebowania składników dopełniających (vitamin) w zależności od stanu, w jakim się każdy żubr w danej chwili znajduje (zacielenie, wiek, płeć i t. d.).

Zważywszy na interes, jaki ludność miejscowa ma i też okazuje w sprowadzeniu znów żubra do Białowieży, która jej przez napływ zwiedzających (w roku b. ok. 10.000 osób) przynosi dobrobyt, nadto na obowiązkową i oddaną sprawie straż łowiecką, uważa się niebezpieczeństwo kłusownictwa za wykluczone.

Reasumując powyższe, stwierdzamy, że rezerwat białowieski po wykonaniu zastrzeżonych uzupełnień rokować może dobre nadzieje rozmnożenia żubra na swym terenie.

Spisawszy z uchwał tych protokuł, przedłożyłem i poparłem go osobiście u p. Loreta, dyr. l. p. w Ministerstwie w Warszawie, który uznał też wymienione w tymże żądania za słuszne i przyrzekł jako pilne, przez misję uznane zalecenia bezzwłocznie wykonać. Potem przyjął mnie p. Minister Rolnictwa, od którego jeszcze dostałem zapewnienie, iż lubo w b. roku kwoty na cele łowieckie, do których sprawa żubrów należy, są wyczerpane, to wszakże w „granicach możliwości" fundusz na utworzenie drugiego zwierzyńca w Wielkopolsce w przyszłym etacie uwzględniony zostanie.

W dziesięć dni później odebrałem też powiadomienie, iż złapanie i przewiezienie żubrów z Zoologu do Białowieży i odwrotnie zostało szczęśliwie dokonane. Obecnie mamy więc w zwierzyńcu białowieskim 5 żubrów, parę czystej krwi i trzy bizony żubrzyce, z których jedna na ocieleniu.

Nie wchodząc w meritum uchwał Państwowej Rady Ochrony Przyrody, pozwalam sobie zauważyć, iż projekt wybrania do komisji czuwającej nad żubrami w Polsce, a składającej się z przedstawicieli nauki, Państw. Rady Ochrony Przyrody, Ministerstwa Oświaty i Min. Spraw Zagranicznych, ale z pominięciem Oddziału Polskiego M. Tow. Ochrony Żubra, dotąd jedynie interesującego się u nas sprawą żubra, czynnika, jest dziwny i trudny do zrozumienia.

Na podstawie długoletnich doświadczeń powiedziećby jeszcze można: jeżeli projektowana, z tak różnorodnych powag składająca się komisja wogóle zdolna będzie do pozytywnej pracy, to z pewnością nie będzie działała tak szybko i skutecznie, jak to się powiodło w powyższym wypadku misji wyznaczonej przez Ministerstwo Rolnictwa.

WŁ. JANTA-POŁCZYŃSKI.
Prezes honorowy Oddz. Polsk. Międz. T. O. Ż.



Wicedyr. l. p. Modzelewski (w mundurze), Wł. Janta-Połczyński, prof. dr. K. Wróblewski, łowczy Hademna, zarządca zwierzyńca (ze strzelbą).

WŚROD HUCUŁÓW I JELENI.

(Zob. Nr. 40)

Na myśl o przeprawach, po przyjeździe myśliwych cięższej wagi, kombinuję ułatwić to przez zbicie drzewa w rodzaj tratwy, aby można było przeciągać się po linie, gdyż kładki zrobić się nie uda, a do istniejącej już, jest za daleko.

Zbito więc parę kawałków drzewa, przeprowadzono linkę żelazną przez rzekę i po drucie na kółku, próbowano przepychać prowizoryczny prom; na razie przy próbach było wiele zabawy, gdyż wynalazek działał niesprawnie; zatapiał się i po kolei każdy z widzów, który śmiał się z wypadku poprzednika, najpierw dawał zbawienne rady i wskazówki, krytykując przepływającego, potem sam pokazywał, jak trzeba robić, i zatapiał się sam z przerażoną miną i po pas w wodzie, a przeklinając „szlag by go trafił", wracał do brzegu. Orzekli więc jednogłośnie, że trzeba to dzieło ulepszyć, co miały wykonać miejscowe siły, a my ruszamy w góry już na dłużej, więc z ludźmi i rzeczami.

Pogodnie, choć chłodno i bez słońca.

Przeprawiamy się wbród przez rzekę, gdyż przewóz był jeszcze za ryzykowny.

Jak zwykle: najpierw siadam, to jest wieszam się na plecach Wasyla, zamykam oczy i kołyszę się, niesiony wolnym krokiem.

Na środku wody słyszę uwagę, bym nogi uniósł wy-

żej, bo głęboko, — usiłuję to wykonać, co z łatwością nie przychodzi, gdyż wtedy cisnę poczciwego Wasyla kolanami; przytem staram się nie dusić go rękami pod gardło i stać się jaknajlżejszym, bo czuję, że słabnie; tłukąc bose nogi o kamienie, potknął się nieco, staje i dyszy; otwieram oczy; zdaje się, że płyniemy razem pod prąd; znam to złudzenie, żałuję, że Wasyl zdjął, jak zwykle, kapelusz; nos i usta mam w jego lokach, wysmarowanych tłuszczem niepachnącym.

Cierpię tak jeszcze i nareszcie dojeżdżamy do brzegu; myślę, że nie mniej byłem zmęczony od Wasyla, który poprzenosił jeszcze rzeczy przy pomocy Makowieja i Michajła, i po odpoczynku ruszamy pod górę.

Wiem, że więcej jak godzinę będziemy się piąć do góry, potem już przez połoninę z małymi spadkami to w dół, to do góry.

Miarowym krokiem, uważając stale, gdzie nogę mamy postawić, aby się nie poślizgnęła, wspinamy się coraz wyżej, nie rozmawiając, gdyż to jeszcze gorzej męczy.

Gdzie bardziej stromo — słychać przyśpieszone oddechy. Czasem stajemy, aby odpocząć, lub badamy, co spowodowało odgłos jaki lub szelest w lesie. Raz ruszyło coś z przed nas z trzaskiem, to znowu z hałasem zerwał się głuszec; parę jarząbków furknęło.

Po silniejszem zmęczeniu siadamy na wypoczynek i zapalamy papierosy, gdyż idąc, palić nie należy; wtedy rozmowa się wszczyna i huculi objaśniają mi rozmaite tajemnice i osobliwości gór.

Mówią chętnie, rozumieć ich łatwo, przyczem starają się objaśniać w zrozumiałej formie; lubią pochwalić się trochę, przy nadarzającej się okazji, a niektórzy, jak zresztą wszędzie, niepozbawieni są skłonności blagierskich. W obcowaniu dłuższem okazują się przychylni, życzliwi i dbali; na ogół grzeczni i usłużni. Do góry jeszcze mamy ze 20 minut, ruszamy, aby przed nocą dotrzeć do celu; dalej wprawdzie już przez połoninę, ale 1½ godziny jeszcze czeka nas „chodu". Widać drzewa rzadsze i jakby otwartą przestrzeń między niemi; myślę, że to już połonina, niestety, jest to jedno z wyższych miejsc, za którem opuszczamy się w dół, po to, aby znowu do góry odrabiać to, co się niepotrzebnie zeszło. Ominąć nie sposób, trzeba się trzymać ścieżki; bez ścieżki spacery wszelkie są wykluczone. Ścieżka nasza jest dość wygodna, gdyż uczęszczana, a przez to ma wyżłobione miejsca w kształcie stopni, gdyż zarówno ludzie, jak i konie, w te same miejsca stawiają nogi, idąc po ścieżce.

Służy ona do komunikacji pieszej, a także konnej pomiędzy gospodarstwem w dolinie we wsi a częścią inwentarza i gospodarstwa na połoninie. Tędy bydło i owce pędzą z wiosną na góry, oraz spędzają jesienią na dół; tędy jeżdżą konno na połoninę z berbenicami (beczułkami) po bryndzę wyrabianą tamże przez dozorujących; tam dowożą im żywność na czas jakiś. Gdy się dochodzi do połoniny, ścieżka ta, czyli płaj prowadzi wzdłuż zbocza góry, w formie—szerszej lub węższej dróżki. Zależnie od kierunku, w prawo i w lewo otacza połoninę. Skręcamy w lewo i idziemy tu jak po równinie, nogi wypoczywają. Nie wszędzie



Widok z Baby „Ludowej". Fot. Wł. Müller.

jednak jest gładko, miejscami teren bardziej kamienisty, a wchodzimy właśnie na kawałek jakby usypany umyślnie, drobno tłuczonym szabrem; ostre kamienie chrzęszczą pod przyśpieszonymi krokami. Skórzane postoły, obok idących, ze szmerem człapią, drąc się na kamieniach. Jeden Wasyl dumny był z posiadanych kamaszy, a tak je oszczędzał, że kiedy pomyślałem, iż szczęśliwie mam buty z grubemi podeszwami, — on siada, zdejmuje kamasze i dalej idzie boso, jak po tłuczonem szkle, niosąc nabyte, może z trudem, ulubione obuwie w ręku.

Przed samym zmrokiem dochodzimy do miejsca, skąd widać już naszą przyszłą siedzibę; wstępujemy jeszcze po drodze do chaty, gdzie mają dać nam klucz od pustej już obecnie stai. Bydło i owce spędzają akurat, z połonin do nocnych zagród przy domu. Pastuchy objaśniają nas, że „czuli już alenia", że wilki zabrały im dwa barany nie dawno, a niedźwiedź parę tygodni temu też był w zagrodzie. Zapraszają nas na noc do siebie, ale ciasnota i brud w chacie, zachęca nas do jaknajszybszego znalezienia się w pustej stai, aby rozlokować się i wypocząć.

Przy ognisku siedzi stary gazda, pali fajkę, stale spluwając i klaszcze w dłonie, strasząc skaczące po chacie, prosięta, spore już, które natarczywie zbliżają się do stojących koryt, gdzie im wkrótce mają wsypać obierki od barabuli, które dziadek płukał, pewnie przygotowując na kolację. Po otrzymaniu klucza, żegnamy się i idziemy w swoją drogę.

(C. d. n.). ST. LESKI.

MÓJ PIERWSZY STRZAŁ Z DUBELTÓWKI.

Będąc jeszcze chłopczykiem w dziesiątej wiośnie życia, okazywałem już pociąg oraz zamiłowanie do lasu, a szczególnie flinty, którą po ojcu, dziadku i pradziadku odziedziczyłem. Ciekawe opowiadanie anegdot myśliwskich przez mego ojca nieboszczyka, który również był leśnikiem, podniecały młodą jeszcze wówczas żyłkę myśliwską.

Dotąd napawałem się urokiem opowiadań ojca i znajomych myśliwych z pod sztandaru św. Huberta.

Często zabierał mnie ojciec na polowanie, szczególnie gdy polowano z fretką na króliki, a jako nowicjusz, musiałem fretkę obsługiwać; mimo śniegu nieraz, zimna i mrozu, sprawiało mi to prawdziwą satysfakcję, tem więcej, że króliki nie były chwytane w siatki, tylko wylatujące strzelane.

To jednak nie wystarczyło do zaspokojenia mej żyłki myśliwskiej; kilkakrotnie ojca prosiłem, by pozwolił mi również strzelać do królików, lecz niestety, odpowiedź zawsze była odmowną, tłumaczącą mi, że jestem jeszcze za młody, że fuzja większa odemnie, że mnie po strzale przewróci.

Pewnej, pamiętnej, grudniowej niedzieli 1912 r. zapragnąłem na własną rękę z fuzją w ręku zapolować. Porę wybrałem całkiem do tego odpowiednią, właśnie kiedy rodzice pojechali na nabożeństwo do parafjalnego kościoła odległego od leśniczówki około 3½ klm. Zabrałem chłopaka, służącego, fretkę, psa, no i fuzję, która naprawdę była większa odemnie, i — jazda do lasu.

Zagajnik 5-letniej kultury sosen dochodził już do leśniczówki, z nim łączył się 80—100-letni starodrzew sosnowy, gdzie nieomal co krok była jama królicza.

A teraz nie traćmy czasu, wołam do Stacha, wpuszczaj fretkę do nory; chwilka czekania, łomot w norze, wyskakuje z bocznej jamy królik, składam się, ciągnę cyngiel, prztyk i nic, bo — zapomniałem naładować; szukam po kieszeniach ładunków, lecz na próżno, w tej prędkości zapomniałem nawet je zabrać. Więc biegiem do domu i po małej chwili wracam i staję już z powrotem na swem stanowisku, teraz już z nabitą strzelbą; fretka manewruje od jednej do drugiej nory, przez ten czas naturalnie już kilka królików wypłoszyła, ale to nic, będzie ich chyba więcej. Teraz już pewniej czekam, gdyż swą bezkurkówkę mam naładowaną. Po niedługiem czekaniu wyskakują aż dwa króle, składam się i ciągnę znów cyngiel, a tu nic, króliki uszły znów bez strzału, — naturalnie zapomniałem odbezpieczyć. Teraz już mniej spokojnie stoję, po pokonaniu tych przeszkód czekam już niecierpliwie na chwilę, kiedy znów króliczek na powierzchni się pokaże, serce skacze, jeszcze parę sekund, lotem błyskawicy wymyka królik tuż pod nogami, teraz nie zdołałem już nawet się złożyć i z pod ramienia prawie bęc, przyczem i ja zrobiłem bęc do góry nogami, a w uszach dzwoniło, jakby w kościele dzwony biły w czasie procesji, dość wcześnie jednak oprzytomniałem i pytam Stacha: Le - le - leży? do - do - dostał? Idź szukać, może leży? A Stach powiada: o cztery kroki śnieg się zakurzył, gdy królik był już o jakieś 40 kroków; więc nie mógł dostać.

Nie mało się zdziwiłem, gdy zajrzałem do luf — oba ładunki razem wypaliły, nie dziw więc, dlaczegom się przewrócił.

A teraz czas do domu, bo za pół godziny rodzice wrócą. Ale szelma fretka nie chce wychodzić; wołamy, wabimy na wpół już z płaczem, moja fretka jak weszła, tak jej niema; kłopot, co tu robić, by się nie wydało. Stachu, wołam, na mnie czas, ja pójdę i odniosę fuzję, a ty zostań, aż fretka wyjdzie. Co tchu zmykam do domu, młodszej siostrze coś obiecałem, by mnie nie wydała, co mi też uroczyście przyrzekła.

Lecz jak to dziewczynki, wszystko przed czasem wypaplają; jeszcze ojciec nie był w progu, to już się wygadała, że Józio był z fuzją w lesie. Tymczasem Stach wrócił też z fretką i obaj musieliśmy opowiedzieć całe zajście.



„Szatan", pointer, wł. H. Knothe. Fot. K. Czampe.

Ojciec nie mało się naśmiał, z tego też powodu nie bardzo się rozgniewał, dzięki czemu bez batów się obeszło; tylko od czasu tego fuzja powędrowała pod stałe zamknięcie, tak, że mowy nie było, by móc ponownie zapolować i powetować niepowodzenie.

W uszach mych dzwoniło całe trzy dni, dwie noce prawie że nie spałem, rozmyślając o fuzji, fretce, króliku i strzale; wszystkim, kogo spotkałem, opowiadałem, że już z fuzji strzeliłem (tylko nie o tem, że mnie przewróciła).

Po niedługim czasie dowiedział się o tem nauczyciel i dokuczał mi przy „Deutsche Geschichte", której niezbyt chętnie się uczyłem.

I tak do siedemnastego roku życia, dzięki wojnie światowej, pozostałem przy jednym, dubeltowym strzale z dubeltówki.

Żaden późniejszy strzał nie sprawił mi już tyle uroku, wrażeń i emocji, co właśnie ten pierwszy, którego nigdy w życiu nie zapomnę.

Leśn. Drapałka (Kórnik).

JÓZEF ŚWIGOŃ.



W KRAINIE PARDW I SERDECZNYCH LUDZI.

Jest w naszej pięknej ojczyźnie bardzo mało znana większości kolegów myśliwych, kraina odrębna w krajobrazach, spowita jakby kamiennym snem tysiącleci, bezsennych wrażeń i widziadeł, bez szczerb wyrytych biegiem czasu, bez zmian od wielkich wstrząsów i bez widocznych śladów wiecznej ekspansji człowieka.

Wyspy lasów i osiedli ludzkich giną w morzu beznadziejnie smutnych, usianych licznemi jeziorami, jałowych mszarów, wrzosowisk i bagien, pokrytych jak obraz bezgranicznej rozpaczy, sterczącymi suchymi drążkami umarłej, karłowatej sośniny i brzeziny. Żarłoczny żywioł w czasie suszy i upałów wyprawia tu niesłychane harce, wypalając kolosalne, na dziesiątki kilometrów przestrzenie, które z biegiem czasu stają się najpożądańszem miejscem dla myśliwego. Po paru latach na zgliszczach zazieleni się samosiew nikłych drzewek, rozkrzewi się popielato-sina pijanica, koralami rozsypie się karminowa żórawina, zadrga wesoło pysznem gronkiem kraśna borówka, panosząc się w promieniach słońca grą kolorów swych dojrzewających i dojrzałych jagódek.

Uboga w urodzajną glebę, pokryta patyną jakiegoś niesamowitego spokoju i przeraźliwej ciszy, kraina ta jest bodaj jedyną w Polsce ostoją pardw, które, wspólnie z „cieciarukami", w poważnych masach niepodzielnie królują na obfitujących w jagody miejscach. Po za niemi, oraz znaczną liczbą bielaków i wilków, nie znaleźć tu bogactwa i różnorodności fauny. W lasach można spotkać ograniczoną ilość głuszców, jarząbków, w czasie przelotów zaś bardzo niedużo słonek. Puste i nieme wszystkie jeziora, bagna i łąki. Znikoma ilość wodnego i błotnego ptactwa nie jest w stanie ożywić ogromnych przestrzeni gwizdem lotek i rozhoworem skrzydlatych rzesz, śpieszących na żer lub powracających z żerowisk. Nie ułowić tu uchem, ani charakterystycznego krzyku bekasa, ani żałosnych jęków kulona, ani skargi i płaczu histerycznej czajki. Zrzadka tylko jastrząb przecina lotem, w prostej linji, martwe milczeniem, mokradła, jakby śpiesząc dostać się prędzej w okolice siniących w oddali, wysepek leśnych oraz ludzkich sadyb. A tam — w leśnych haszczach? Czasami mignie kitą, przemykający się, rudy spryciarz, lub, jak cień przesunie się szczenna wadera z bielakiem w paszczęce, czasami rzadki okaz szaraka potężnym susem przesadzi leśną drożynę.

W osiedlach — lud spokojny, zamknięty w sobie, pełen smętku i milczenia, jak ziemica, na której wzrósł i z której płodów żyje. W przeciwieństwie do poleszuka, chętny jest wiedzy i bardzo zdolny do przyswajania sobie jej tajemnic, fizycznie zaś przewyższa go o całe niebo;—hoże dziewczęta „Warszulki", dorodni, postawni chłopcy spotykają się na każdym kroku. Odrębne oazy przedstawiają osiedla ludności polskiej, niegdyś zaścianki szlachty zagrodowej, oraz wsie kacapów, starowierów. Ci ostatni, niezrównani wabiarze wilków, nie poddając się żadnej asymilacji, pozostali, ze swoistemi wierzeniami, tradycjami, obrządkami, zabobonami i krańcowością w pojęciach dobra i zła, takimi, jakimi przed kilkuset laty byli ich przodkowie. Jeśliś trafił na zadziwiającą uczciwość i sumienność, to napewno u kacapa-starowiera, i odwrotnie, jeśliś spotkał wybitną indywidualność bandycką i koniokradzką, to z pewnością będzie to kacap-starowier, który, po zastosowaniu odpowiednich „zahoworów" i „odczarów", uważa, że uprawiany przez niego „sport" w niczem się nie sprzeciwia ogólnym nakazom etyki i moralności, jeśli przed wyprawą złodziejską, na intencję jej pomyślnego wyniku, św. Mikołaj dostał przed swoją ikonę świecę, a dla pozyskania jednocześnie przychylności djabła, postawi się w najciemniejszym kącie komory, pogrzebacz.

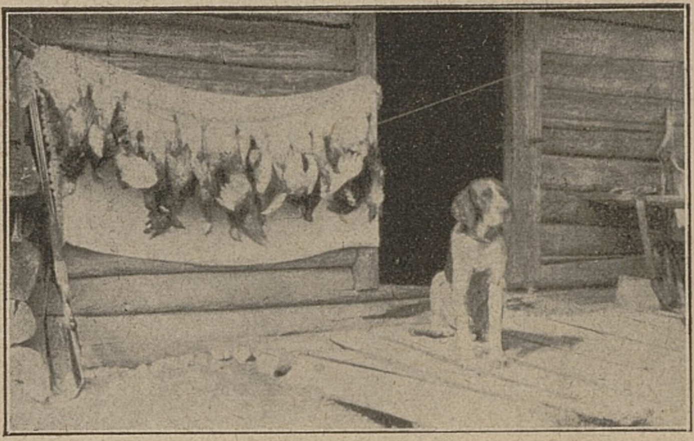
Są tu dwory i dworki, które przeszły przez ból, mękę i zniszczenie wielkiej, światowej pożogi, które zda się, skazane były na ostateczne zatracenie w srogiej nawałnicy bolszewickiej, a które jednak, dziś ledwie odbudowane, z dawną praojców naszych cnotą, szeroko otwierają swe gościnne podwoje dla przybywających, witanych i podejmowanych z prawdziwą serdecznością, przez radujących się odwiedzinami, gospodarzy. Stosunek ten, promieniując na wszystkich domowników w postaci nadobnych: Marysi, Franki, Helenki i... umorusanego świniarka, tchnie przedziwną prostotą szczerości i rozbrajającą, tkliwą naiwnością w chęci dogodzenia miłemu gościowi i, chociaż staje się w niektórych wypadkach krępującym, rozrzewnia ogromnie, wytwarzając nastrój braterstwa i wielkiej łączności uczuciowej, jak za dawno minionych dni, gdy gość, nawet przygodny, był uważany za dar boży, w którym zawsze można było doszukać się czy to pokrewieństwa, czy powinowactwa.

Łaskawem zrządzeniem losu dane mi było odczuć

sercem taką gościnność, oraz zakosztować dawno upragnionych rozkoszy polowania z wyżłem na pardwy, których dotychczas nie miałem sposobności zaliczać w poczet zdobytych w Polsce trofeów, a na które nie polowałem prawie od lat 20.

16 sierpnia b. r., korzystając z łaskawego zaproszenia pp. W. G., wyruszyłem wraz ze swoim Tropem, który dotychczas przeżywał emocje litylko w rozpoznawaniu subtelnej woni kuropatw, lub też cietrzewi, — w pielgrzymkę do ziemi obiecanej, powiatu Brasławskiego — Ostrowlan, majętności najserdeczniejszej z niewiast, pani Wandy z Szumskich - Szaumanów Gieysztorowej. Miłym kompanem, oraz troskliwym opiekunem moim w drodze był wybitny miłośnik łowiectwa i zawołany myśliwy, czcigodny prezes Towarzystwa Wołyńskiego, zawsze pogodny i zrównoważony, ogólnie przez wszystkich lubiany, p. profesor J. G. Przed 9-ciu tygodniami poddawałem się dość poważnej operacji, a więc cała impreza długotrwałej podróży na nasze najdalsze, północne kresy, oraz udział mój w polowaniach na ciężkich do chodzenia terenach, miały dla mnie specjalne znaczenie, jako ostateczny probierz sił fizycznych po chorobie i solidny trening przed sezonowymi, na większą skalę wyczynami łowieckimi.

Wyruszyliśmy z Warszawy z wielką niepewnością co do aury, oraz, jak się okazało, pod znakiem jakiegoś złośliwego chochlika, który, pomijając kwestję czysto myśliwską, stale wyprawiał nam dokuczliwe psoty. Po niespełna dwudziestogodzinnej podróży koleją, zasmuceni widokiem ciężkich, ołowianych chmur, przysłaniających niebo, lub spływających po szybach wagonu, strumieni rzęsistego deszczu, dojechaliśmy do stacji Głębokie. Przed sobą mieliśmy do odbycia dalszą, mało obiecującą z powodu ciągłych deszczów, kilkudziesięciu - kilometrową drogę. Jako niezawodny, najnowszy środek lokomocji, oczekiwał naszego przyjazdu „pożeracz przestrzeni" — stary gruchot firmy Chevrolet. Wymęczony długą, prawie pozbawioną wszelkich wygód, jazdą, wprost leciałem przez ręce p. J. G., i zdezorjentowany, tak stanem niebios, na którem odbywały się szalone wyścigi już porwanych w strzępy, chmur, jak i widokiem imponującego wehikułu, zastanawiałem się, czy nielepiej, zgodnie z rozsądkiem, zrezygnować z dalszych emocyj i wrócić do Warszawy. Jednak nakaz umiłowanej od dzieciństwa, namiętności zwalczył niemoc fizyczną i spowodował powzięcie niezłomnej decyzji: za wszelką cenę dopchać się do miejsca przeznaczenia. Zgodnie z oświadczeniem szofera, że pojedzie dalszą, lecz „lepszą" drogą, dostaliśmy się do miasteczka Hermanowicz, bez widocznej szkody dla zdrowia, „pożerając" 50 kilometrów drogi z „bajeczną" szybkością w ciągu 3½ godzin. Pozostałe, według określenia p. G., pierwszej klasy 12 kilometrów drogi, mieliśmy nadzieję połknąć w ciągu najwyżej jednej godziny. Zapomniałem jednak o tem, że znajduję się w kraju zwodniczych widm, błędnych ogni, złud i czarów. — Ze wszystkich stron świata wjeżdżaliśmy do miasteczka Hermanowicz, lecz wyjechać na „znaną" szoferowi i p. J. G. drogę, w żaden sposób nie mogliśmy, nie bacząc na kilkakrotne wskazywanie nam właściwego kierunku przez usłużnych, pochopnych do dawania dobrych informacyj, żydków i chłopków hermanowickich. Wracaliśmy drogą do Głębokiego, łamaliśmy jakieś rogatki, parliśmy przez świeżo ułożone na budującym się bruku, oślizgłe od deszczu, kupy kamieni, wpadaliśmy w wyrwy i zalane po brzegi wodą, wykopy i... ostatecznie ugrzęźliśmy na amen na jakiejś rozkopanej drodze, skąd wybrnęliśmy już na własnych pedałach, z trudem wyciąganych z lepkiego i cuchnącego błota. Koniec końców, po 6½ godzinach iście chińskich tortur, na tym „pierwszej klasy" odcinku zwyciężyliśmy wszystkie przeszkody i chłopskim wózkiem dotarliśmy do celu naszej podróży, gdzie serdeczne współczucie gospodarzy i smaczne śniadanko poprawiły nasze, na wpół skwaszone humory. Troskliwa propozycja miłej pani domu, abyśmy raczyli wypocząć po przebytych trudach, spotkała się z kategorycznym sprzeciwem z naszej strony, oraz z zapewnieniem, że widok porywającego się stadka pardw będzie narazie lepszym i pożądańszym środkiem wypoczynkowym, niż miękko zasłane rękami nadobnej Marysi, wygodne łóżko. Stosownie do naszych życzeń, 18 sierpnia o godzinie 7-ej z rana wsiedliśmy do jednokonnych wózków i w asyście kroczących obok z naszymi wyżłami, Witki i Józiuka Osietników, przeznaczonych do dźwigania przyborów myśliwskich, żywności i naszych manatków, raźno i ochoczo wyruszyliśmy „w pole".



„Trop" ze zdobyczą.

Naszym punktem wyjścia i bazą była gajówka odległa od Ostrowlan o kilka dobrych kilometrów, znajdująca się w powiecie Dziśnieńskim w dobrach p. Sterna. Po karkołomnej drodze przez las, urozmaiconej widokiem uciekającego per pedes głuszca, oraz druzgocącą obawą o życie przed przybyciem każdej z niezliczonej ilości, kilkometrowej jamy, z reguły napełnionej rzadkiem błotkiem, pniakami, korzeniami i odwiecznym kamieniem pośrodku, schłostani zwisającemi gałęziami, dojechaliśmy z łaski Bożej, bez poważniejszych obrażeń cielesnych do upragnionej gajówki. Położona w bezpośredniem sąsiedztwie z obszarami mchów nad rzeczką „Padorką" (prawdopodobnie „Podolką" od terenów, przez które przepływa, „Podolszczyzną" zwanych), gajówka „Piszczelówka" jest ostatnim, widomym znakiem kultury na pograniczu lasów, sianożęci i ornych pól, z martwotą pustyni — bezmiarem obszarów mchów i bagien.

Gajowy Czarniewski razem z rodziną, która in gremio wyszła na nasze spotkanie, po odpowiedniem powitaniu usłużnie dopomógł nam wydobyć z kałamaszek roztrzęsione jazdą, członki umęczonych ciał i niezwłocznie zaczął zbierać się do wyruszenia na mchy. Jego mało obiecujący meldunek, że przez najlepsze miejsca niedawno przeszedł „wielhij" pożar i z tego powodu z „pierłami" (miejscowa nazwa pardw) „Boh wie jak to budzie", po przebytych rozkoszach podróży, zlekka zachmurzył obłoczkiem konsternacji nasze oblicza i wprowadził przykrą powolność w ostatecznych przygotowaniach do wymarszu. W międzyczasie wzmianka Czarniewskiego, że „ciearuków to znajdziem napewno", dodaje nam bodźca. Odbyła się krótka narada: gdzie, co i jak, następuje przydział „prowodyrów" (dla mnie Witka Osietnik, dla p. J. G. seniora Józiuk Osietnik, juniora zaś prowadzi „sam" Czarniewski); przeprawiamy się kolejno przez Padorkę w łódce, z której dna bije w obłoki, niczem fontanna, struga wody, i rozchodzimy się w obranym kierunku dość szeroką ławą, pilnie bacząc, aby nasze cięte wyżły — mój Trop i p. W. G. Ralf, stale podkreślające swe zamiary przetrzepać jeden drugiemu skórę, nie rozpoczęły na dobre działań wojennych.

(Dok. n.). ST. SKRZYŃSKI.



Z POWODU ARTYKUŁU W SPRAWIE PILNEJ I ZASADNICZEJ.

Szanowny Kolego Myśliwy! Z radością powitałem artykuł Pański pod tytułem: „Sprawa pilna i zasadnicza". Bodaj pierwszy raz od szeregu lat w piśmiennictwie łowieckiem spotykam głos nawołujący do poszukiwania t. zwanej „busoli" w łowiectwie. Ponieważ mam na myśli sposoby odmienne od Sz. Kolegi w dojściu do owej „busoli", postaram się swe myśli tu wyłożyć, choć zapewne stylistycznie będą bardzo szwankowały. Trudno, narazie innego sposobu publicznego poruszenia tej sprawy nie mamy. Sięgamy więc po pióro.

Przechodzimy zatem do „sprawy pilnej i zasadniczej". Szanowny Kolega w swoim artykule bardzo wielką rolę przypisuje propagandzie łowieckiej. Dobra to rzecz, ale jednocześnie żmudna to praca, bo propaganda musi być zakrojona na długie lata, aby dała rezultaty dodatnie. Propaganda poucza i uświadamia ogół myśliwych zbyt, że tak się wyrażę, platonicznie i łagodnie. Tylko amatorzy interesują się lekturą pism łowieckich, t. j. ci, którzy już są prawowitymi wyznawcami z pod znaku „św. Huberta". Jest ich jednak bardzo niewielu. Musimy przejawić silną rękę i stworzyć taką organizację wszechpolską, do którejby cała brać myśliwska musiała należeć automatycznie z momentem wykupienia karty łowieckiej.

Jestem zwolennikiem przymusu, choć daleki znowuż jestem od tak zwanego czystego etatyzmu. Postaram się udowodnić, dlaczego ten przymus jest jeszcze dzisiaj u nas w Polsce złem koniecznem.

Zastanówmy się, kto u nas jest myśliwym, przepraszam, kto jest posiadaczem karty łowieckiej, to jest jednostką, uprawnioną do zabijania zwierzyny? Takich ludzi w Polsce jest około 56 tysięcy. Jednych pociąga żyłka myśliwska, drugich w dodatku chęć zysku, jaki łowiectwo dać może. Wszyscy oni dobrowolnie składają pewne datki pieniężne w postaci opłat za karty łowieckie i pozwolenia na broń. Czysto więc egoistyczne pobudki skłoniły ich zatem do tego przymusowego wydatku. Silna ręka kazała coś zapłacić, aby móc polować, więc to się zrobiło — zapomniano tu zmusić myśliwego do troski hodowlanej o zwierzynę. Więc co się dzieje na tym „odcinku" i kto daje ochronę zwierzynie, kto ją hoduje, ilu myśliwych robi coś w tej sprawie? Prawie nikt i nic. A dlaczego? Powtarzam: Bo troska to czysto idealna i dobrowolna. Prawo łowieckie pod tym względem jest mocno liberalne. Widzimy więc w tem miejscu największą lukę w sprawie łowieckiej. Dla uplastycznienia słabości na tym „odcinku" naszej sprawy, postaram się poszukać odpowiedzi na trzy następujące pytania:

1) jaka ilość ziemi całej Polski jest prawnie opolowywana, czyli jaka jest procentowo ilość terenów, wydzierżawionych na polowanie;

2) jaka jest opieka łowiecka na tych wydzierżawionych terenach;

3) z jakiego elementu składa się cała nasza rzesza ludzi polujących.

Przechodzimy do pierwszego punktu. Ze statystyki państwowej wiemy, że duże majątki ziemskie zajmują około 25% całego obszaru Rzeczypospolitej, na drobnych rolników przypada około 60% i na dobra państwowe (lasy) około 15%.

Właściciel dużego majątku, ziemianin, przeważnie dba o swój zwierzostan. Liczymy więc, że 20% obszaru ziem polskich ma tę opiekę łowiecką, 5% przypuśćmy, jest w zaniedbaniu. Z własności małorolnych,

wspólnych obszarów łowieckich mamy wydzierżawionych około 30%. Prawo polowania na tych terenach posiadają dwory, różne Kółka myśliwskie, lub nawet pojedynczy myśliwi. Jest ich zatem 65 × 30 = 19,5 czyli 20%.

W całej Rzeczypospolitej opiekę łowiecką posiadają tereny:

a) wielka własność	20%	całego obszaru Polski,
b) małorolna własność	20%	,, ,, ,,
c) lasy państwowe	15%	,, ,, ,,
Razem	55%	

Reszta terenów leży odłogiem, poluje na nich kto chce i prawie kiedy chce. Pierwsza odpowiedź słaba.

Jaka zaś jest efektywna opieka nad tymi terenami? Właściciel ziemski, przeważnie amator myśliwy i hodowca, daje opiekę dobrą. Tereny małorolne wydzierżawiają jedynie prawie Kółka myśliwskie większych lub mniejszych miast. Jak ci miejscy ludzie mogą się opiekować tymi terenami? W najlepszym wypadku przez wynajętą straż. Jest to już coś, ale polskie przysłowie mówi: ,,pańskie oko konia tuczy". A więc i ta opieka jest bardzo problematyczna.

Jeżeli teraz znowu weźmiemy pod uwagę dane statystyczne, to one nam powiedzą, że tych Kółek myśliwskich miejskich jest zarejestrowanych w całej Polsce ok. 500, a tylko około setki należy do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Te tylko sto Kółek najwyżej stojących pod względem uświadomienia łowieckiego, utrzymuje swą straż, reszta, t. j. większość, nie trzyma straży, ta bowiem kosztuje bardzo drogo, więcej bodaj, niż roczna tenuta dzierżawna tych terenów, które posiada Kółko myśliwskie. A więc w pierwszym wypadku ,,pańskie oko" jest bardzo daleko od terenów łowieckich, w drugim ,,pańskiego oka" wcale niema. W konsekwencji zatem, nawet nad terenami wydzierżawionymi opieka zwierzostanu jest bardzo minimalna.

Teraz znów zastanówmy się, z jakich elementów składa się ta cała armja, 56 tysięcy ludzi licząca i mająca karty łowieckie.

Wyprowadzając średnie z danych pp. delegatów powiatowych, jak również na podstawie wiadomości z Ministerstwa Rolnictwa, mielibyśmy skład następujący:

a) Myśliwy-hodowca (właściciele dworskich obszarów) — 15%, t. j. . . .	8	tys.
b) Straż dworska i służba — 15%, t. j.	8	,,
c) Straż leśna (lasów państwowych) .	6	,,
d) Około 100 Kółek myśliwskich, należących do PZSŁ., a liczących około 4000 członków	4	,,
e) 400 Kółek myśliwskich, nienależących jeszcze do P.Z.S.Ł., a liczących około 16 tysięcy członków	16	,,
f) Myśliwi, nienależący do żadnego Kółka łowieckiego (t. zw. dzicy) . .	14	,,
Razem	56	tys.

Jeżeli pewną miarą etyki łowieckiej, jaką posiadają ci wszyscy myśliwi wyżej wymienieni, ma być statystyka ilości jakichkolwiek pism łowieckich, prenumerowanych przez myśliwych, to możemy dojść do bardzo smutnych wyników. Sądzę, że abonujących pisma łowieckie znajdzie się nie więcej jak 10 tysięcy osób.

Biorąc zatem pod uwagę powyższe dane, owe smutne odpowiedzi na te trzy pytania, będę napewno optymistą, jeżeli powiem, że 50% myśliwych dla łowiectwa coś robi bezpośrednio lub pośrednio. Innych nazwałbym pasożytami i trzebaby było albo odebrać im karty łowieckie, albo też stworzyć taką organizację łowiecką, ogólno-państwową, któraby i nad takimi ,,pasożytami" mogła rozciągnąć opiekę etyczno-myśliwską i poddać ich racjonalnej propagandzie łowieckiej.

Przy dzisiejszej organizacji łowiectwa, niestety, odebrać kart łowieckich nie jesteśmy w możności. Tutaj pocieszę brać myśliwską, że z 200 tys. kart łowieckich, wydawanych rocznie przed wyjściem na świat Boży ,,Prawa Łowieckiego", obecnie liczba ich spadła do 50 tys. Więc jest choć jakaś poprawa, przynajmniej w tym kierunku, ale jest. Oczywista, jest to rezultatem



Z podjazdu 1930 r. Ubił Juljan Sczaniecki. Starygród.

i propagandy łowieckiej (Kolega się cieszy) i współpracy czynników łowieckich z czynnikami rządowymi, jednak najwięcej zaważyła tu silna ręka w postaci kilku paragrafów ,,Prawa Łowieckiego", normujących uprawnienia do otrzymania tych kart łowieckich.

Początek poprawy jest, do dalszej musimy dążyć sami, przez stworzenie organizacji ogólno-myśliwskiej, przez szukanie owej ,,busoli" łowieckiej.

Zgadzam się z Szanownym Kolegą i stwierdzam, że fundament podobnej organizacji już mamy, a mianowicie P. Z. S. Ł. Prawda, robota tej organizacji kuleje, ale to z przyczyn u nas w Polsce zwykłych, z braku gotówki.

Fundusze zatem muszą być, a bodajże one nawet są, tylko nam ich nie dają. Dlaczego? Bo może nam nie wierzą, lub może sami nie umiemy ich się doprosić. Szukajmy więc funduszów!

Mam na myśli dwojaki sposób wydostania ich:

Pierwszy (trudniejszy) — dzisiaj każdy myśliwy, wykupując kartę łowiecką, płaci po 10 zł. rocznie podatku łowieckiego. Fundusz ten przechodzi do kas Ministerstwa Rolnictwa i zapewne w swej lwiej części jest rozchodowany na pokrycie potrzeb łowieckich lasów państwowych. *)

Czy to jest sprawiedliwe — wątpię. Jednak pretensji do Ministerstwa Rolnictwa nie możemy mieć z tego tytułu. Ciągle prosić Ministerstwo Rolnictwa o popar-

*) Idzie wprost do Skarbu Państwa. Przyp. Red.

cie finansowe na te, czy inne sporadyczne wystąpienia łowieckie, nie przedstawiając projektu ciągłości pracy łowieckiej nad całą zrzeszoną naszą bracią myśliwską — wygląda niepoważnie. Sądzę, że gdyby Ministerstwo Rolnictwa otrzymało projekt reorganizacji bytu łowieckiego, to po uzgodnieniu ze swojemi dezyderatami, mogłoby przyznać subsydjum w postaci 5 zł. od karty łowieckiej. O ile tak nie jest, to chyba sami myśliwi są temu winni. Zbyt mało dotąd myśleliśmy i zrobiliśmy w tej tak zwanej sprawie „pilnej i zasadniczej". W niedawnej przeszłości omal wyłącznymi organizatorami łowiectwa byli przeważnie ludzie ze sfer uprzywilejowanych, którzy w swych „zaściankach" ideały łowiectwa propagowali dobrze, ale dalszego zaciągu ich idee nie miały. No i walczyć dzisiaj hasłem: „jaknajmniej wydawać kart łowieckich" jest już i niemodnie, że tak powiem, i bodaj prawie jest to niemożliwe. Musimy uznać, że każdy ma prawo być myśliwym, trzeba jeno ich zrzeszyć i trzeba wychować, podnieść do poziomu myśliwych - hodowców.

Przepraszam, odbiegliśmy jednak od przedmiotu. Przypuśćmy, że Ministerstwo Rolnictwa, jako przedstawiciel Rządu, nie zechce być ciągle niańką we wszystkich poczynaniach organizacyjnych swych obywateli (stała choroba naszego społeczeństwa) i odmówi nam subsydjum, pozostawiając własnym siłom. Trudno. Przechodzimy zatem do drugiego sposobu.

Mam prawo sądzić, że jeżeli aż 50 tys. myśliwych idzie dobrowolnie do Kas Skarbowych i płaci owe dziesięciozłotówki za karty łowieckie, aby tylko zadośćuczynić swej żyłce myśliwskiej, to ich stać będzie, aby dopłacili jeszcze 5 zł. więcej. Napewno każdy myśliwy dużo więcej wydaje pieniędzy, korzystając ze swej karty łowieckiej, t. j. jeżdżąc na polowania. Do tego podatku musimy się zmusić. Na taki haracz stać każdego z nas — a sprawa łowiecka będzie wygrana. Projekt taki musimy podać do Ministerstwa Rolnictwa, w celu zaakceptowania.

Prawo nałożenia tego podatku powinien posiadać P. Z. S. Ł. jako obecny reprezentant całego łowiectwa polskiego. Z momentem wykupienia karty łowieckiej, każdy myśliwy stawałby się automatycznie członkiem Związku, zdobywałby przywileje członka Związku i podpadał rygorom związkowym.

Jednocześnie każdy myśliwy uzyskiwałby prawo otrzymywania bezpłatnie pisma łowieckiego, wydawanego przez centralę Związku. *)

Tym sposobem wszyscy myśliwi musieliby trafić pod przemożny wpływ propagandy łowieckiej idealistów-hodowców, a także pod kontrolę moralną inspektorów wojewódzkich, przyszłych, stałych przedstawicieli centrali Związku.

Aby sprawa łowiecka naprawdę realnie poszła naprzód, musimy mieć stałą Centralę, złożoną z naszych moralnych przywódców i stałego personelu. O tem wiemy wszyscy, fundusze już teraz mamy (po zrealizowaniu powyższego projektu). Stać nas zatem, aby utrzymać 16 przedstawicieli wojewódzkich i dyrekcję centrali łącznie z redakcją pisma łowieckiego.

Utrzymując nadal dobrowolnych delegatów powiatowych, którzy pracują na swych terenach już teraz łącznie z naszym stałym przedstawicielem wojewódzkim, stwarzamy tym sposobem na prowincji nasze oko, które rozciągnie pieczę, tak nad miejscowemi Kółkami myśliwskiemi, jak i nad pojedynczymi łowcami.

Dzięki tej organizacji można będzie uzyskać łatwiej „racjonalny kontakt czynników łowieckich z czynnikami państwowymi" i uderzyć propagandą w samo społeczeństwo.

W projekcie tym pozostawiam, jako zasadę, obecne prawo łowieckie, czyli nie obostrzam praw do otrzymania kart łowieckich.

Jako fundament przyszłego Związku projektuję obecny P. Z. S. Ł.

Pozostaje zatem: opracować szczegółowy projekt, uzgodnić go z postulatami Ministerstwa Rolnictwa, uzyskać aprobatę na prawne pobieranie owych 5-złotówek od każdej karty łowieckiej (prócz wydawanych państwowej straży leśnej) i z funduszem rocznym około ¼ miljona, rozpocząć naszą pracę.

Są to luźne uwagi. Nie patrzę na swój projekt, jako na jedyne możliwe i ostateczne wyjście z sytuacji dla realizacji naszych celów. Uznaję jedno — ruszyć musimy i robota pójdzie, gdy będą pieniądze, — a te damy sobie sami, — no i niestety, damy tylko pod przymusem. Prawo przymusu uzyskać trzeba celowym projektem naszej organizacji.

Nie wierzę w dobrowolne, sporadyczne wysiłki pojedynczych osób, znając naszą polską kłótliwość i słomiany ogień.

Sz. Koledze, który pierwszy poruszył „sprawę pilną i zasadniczą", łączę wyrazy uznania i szacunku, oraz słowa zachęty do dalszej owocnej propagandy na tem polu.

MICHAŁ CIERPIŃSKI.

*) Za 5 złotych? Przyp. Red.



TERMINY OCHRONNE
USTANOWIONE DLA POSZCZEGÓLNYCH WOJEWÓDZTW.

WOJEWÓDZTWO	kozły	dz. kaczki	kuropatwy	zające	inna zwierzyna	
Pomorskie rozp. z dn. 16 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 grudnia	od 15 stycznia do 30 listopada	wiewiórki przez cały rok	
Poznańskie rozp. z dn. 18 grudnia 1929	do 31 maja i od 1 paźdz.	—	—	od 15 stycznia do 31 paźdz		
Krakowskie rozp. z dn. 11 grudnia 1929 i 30 maja 1930	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Lwowskie rozp. z dn. 6 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	—	do 15 września i od 1 listopada	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Stanisławowskie rozp. z dn. 28 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Tarnopolskie rozp. z dn. 21 grudnia 1929	od 1 stycznia do 15 czerwca	—	do 15 września i od 1 grudnia	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Warszawskie rozp. z dn. 30 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Lubelskie rozp. z dn. 31 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 1 stycznia do 31 paźdz.		
Łódzkie rozp. z dn. 10 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Kieleckie rozp. z dn. 29 grudnia 1929 r.	—	od 1 marca do 20 lipca	—	od 1 lutego do 31 paźdz.		
Poleskie rozp. z dn. 24 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 15 stycznia do 31 paźdz.	łosie byki i wiewiórki przez cały rok	
Białostockie rozp. z dn. 5 grudnia 1929	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.		
Wileńskie rozp. z dn. 25 lutego 1930	—	od 1 marca do 20 lipca	—	od 15 stycznia do 31 paźdz.	bielaki od 15 stycznia do 31 paźdz.	
Nowogródzkie rozp. z dn. 9 stycznia 1930	do 15 czerwca i od 1 paźdz.	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 15 stycznia do 31 paźdz.	bielaki od 1 lutego do 31 paźdz.	łosie byki, dropie strepety i wiewiórki przez cały rok
Wołyńskie z dn. 6 grudnia 1929 i 2 stycznia 1930	—	od 1 marca do 20 lipca	do 15 września i od 1 listopada	od 1 lutego do 30 paźdz.		

UWAGA: Pola z kreskami oznaczają normalny czas ochronny pg. ustawy.

Kronika myśliwska.

—S.— W dniu 6 września odbyło się pierwsze polowanie bieżącego roku u p. Hieromina Siemieńskiego w Silnicy. Na przestrzeni 2 ha, w 4 miotach pp. Stefan i Hieronim Siemieńscy ubili 63 króliki i 60 kuropatw.

Dnia 20 września polowano w Silnicy na pędzone kuropatwy. Ubito sztuk 760 w 8 strzelb: kuropatw 580, bażantów 28, królików 152. W polowaniu brali udział: Paweł hr. Potocki, p. Tadeusz Halpert, Andrzej hr. Morstin, Zygmunt hr. Wielopolski, p. Stefan Siemieński, Stanisław hr. Potocki, p. Konrad Niemojewski, p. Tadeusz Siemieński, Benedykt hr. Tyszkiewicz jr. Królem polowania był p. Konrad Niemojewski.

W dobrach Kruszyna, rew. Prusicko, ks. Stefana Lubomirskiego, odbyło się dnia 22 z. m., znakomicie prowadzone polowanie uwieńczone rekordowym rezultatem. W 10 strzelb ubito w 23 miotach 1307 sztuk, w czem 1268 królików. W polowaniu brali udział: hr. Konstantowa Zamoyska, ks. Róża Lubomirska, hr. ordynat Maurycy Zamoyski, hr. Józef Broel-Plater, hr. Paweł Potocki, p. Hieronim Siemieński, baron Leopold Kronenberg, hr. Konstanty Zamoyski, hr. Stanisław Potocki, ks. Stefan jr. Lubomirski. Królem polowania był hr. Paweł Potocki, mając 213 sztuk.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

— **O czas ochronny.** — Wielkopolski Związek Myśliwych ogłosił w pismach poznańskich komunikat, w którym pisze:

Powiadamiamy członków naszych, że w niektórych powiatach ukazują się na targach i w sklepach nielegalnie ubite bażanty. Przypominamy, że na skutek rozporządzenia pana wojewody poznańskiego z dnia 18 grudnia 1929 roku, (które nie zostało cofnięte) odstrzał bażantów-kogutów rozpoczyna się dopiero z d. 16 października, a odstrzał zajęcy z dn. 1 listopada. Powyższe komunikujemy w celu uniknięcia dochodzeń karnych przez urzędy policyjne.

— **Pozbawienie koncesji 5 właścicieli składów broni.** — Prasa codzienna informuje, że Wydział przemysłowy magistratu warszawskiego cofnął, na wniosek komisarjatu rządu, koncesje następującym właścicielom składów broni: Bogusławowi Pawłowskiemu (Hoża 33), „Sport" (Chmielna 33), „Jędrzejewski i Stano" (Krak. Przedmieście 62), Zygmuntowi Wilbikowi (Długa 44) i Teodorowi Falkowskiemu (Widok 22) za nieprzestrzeganie przepisów o handlu bronią (za sprzedaż broni bez okazania zezwolenia władz administracyjnych, za niewłaściwe prowadzenie ksiąg przez niezapisywanie nazwisk i adresów nabywców etc.).

— **Kozice w Tatrach.** Obserwacje p. Stanisława Leszczyckiego, które streściliśmy w „Łowcu Polskim" za „Ochroną Przyrody", w dalszym ciągu za marzec i kwiecień przedstawiają się w streszczeniu jak następuje:

Początek marca był niepogodny, widziano tylko szlak przez Roztokę, a oprócz tego dwa razy jedną kozicę na Miedzianem i 10.III stadko z trzech sztuk na grani Gładkiego Wierchu.

Dnia 16 marca przez Wielki Staw biegł ślad rysia. Ryś pobiegł przez stawy na stoki Miedzianego (stały pobyt kozic) i tu wałęsał się między maliniakami, wkońcu zaś znikł pod Szpiglasową przełęczą. Ukazanie się rysia w dolinie sprawiło, że kozice znikły na dłuższy okres czasu, nawet przez kilka dni nie został zaznaczony stały szlak przez Roztokę.

W drugiej połowie kwietnia kozice powróciły; dwa stadka kręciły się po stokach Miedzianego, Kotelnicy i Gładkiego Wierchu, prócz tego często widoczną była jedna kozica chodząca samopas po Świstówce, Opalonem i Miedzianem. Szlak na południowe stoki Wołoszyna pozostał, lecz kozice odwiedzały go coraz rzadziej, gdyż widocznie znalazły sobie pokarm w innej części doliny.

Od 5 maja znikł stały szlak kozic przez Roztokę, a kozice stały się wogóle trudno widoczne.

W połowie maja podczas wycieczki granią od Gładkiego Wierchu po Wrota Chałubińskiego widziano kilkakrotnie kozice: jedną na Kotelnicy. trzy pod Szpiglasową przełęczą, na południowych jej stokach; koło Wrót Chałubińskiego pięć tworzących duże rodziny (jeden cap, dwie stare i dwa młode koźlątka, szybko i zręcznie uciekające ze swymi rodzicami), które spłoszone, pobiegły w stronę Piarżystej Doliny. Opodal zauważono jeszcze jednego capa, ten poszedł śmiało ścianą Cubryny na jej południowe stoki.

— **Z naszych zwierzyńców.** — Dyrekcja ogrodu zoologicznego w Warszawie urządziła dla białych niedźwiedzi skałę cementową, imitującą pejzaż arktyczny. Przy skale urządzony jest basen, w którym niedźwiedzie mogą się kąpać. Skała ma około 15 metr. wysokości i 30 szerokości. Odwrócona jest na północ, by słońce nie dopiekało wrażliwym na ciepło, białym niedźwiedziom.

Obecnie opracowuje się plan urządzenia sztucznej skały dla lwów. Od tyłu urządzony będzie budynek, w którym lwy przebywać będą od końca listopada do końca marca. Od publiczności przedzielać będzie lwy rów szerokości 5—6 metrów.

W ciągu roku ogród wzbogacił się o 10 lwiątek. Zwracają się do ogrodu osoby prywatne, które chciałyby kupić lwiątko.

Na terenie uzyskanym po Luna-Parku, rozpoczęto roboty przy kopaniu wielkiego basenu i sypaniu tam. Basen służyć będzie na wiosnę dla fok, które w liczbie kilku sprowadzone będą do ogrodu. Basen będzie miał 110 metrów długości i 45 metrów szerokości. Zasilanie basenu w wodę następować będzie ze specjalnych studni artezyjskich.

W zwierzyńcu w Lesznie w Wielkopolsce do ogrodzenia, w którem znajdowało się stado jeleni, wszedł 70-letni dozorca Józef Gorwa. Nagle jeden z jeleni

rzucił się na starca i rogami rozpruł mu brzuch, masakrując go straszliwie. Nieszczęśliwy dozorca w parę godzin później zmarł. Jelenia zastrzelono.

Zwiedzanie Ogrodu Zoologicznego jest w Poznaniu jedną z najbardziej ulubionych rozrywek szerokiej publiczności. W celu ułatwienia publiczności zwiedzania, dyrektor zwierzyńca, p. Kazimierz Szczerkowski wydał bogato ilustrowaną broszurę, którą nabyć można przy kasie. Przewodnik ten dokładnie opisuje osobliwości hodowanych w ogrodzie, gatunków zwierząt i jest nader pożytecznym informatorem. Kto wśród egzotyków poznańskiego zwierzyńca dokładniej jeszcze chciałby się zorjentować, temu polecić jeszcze można do zakupu przy kasie ogrodowej, prace dra E. Niezabitowskiego w trzech zeszytach p. t. „Postacie żywych zwierząt" lub też ciekawą monografję dra K. Wróblewskiego o żubrze polskim.

— **Zarobek przez psy.** — Oszukańczy pomysł, na jaki wpadł pewien lwowianin, powinien zainteresować myśliwych, właścicieli psów. Nabył on kilka par zniszczonych spodni i porozdzierał je w pewnych, zgóry upatrzonych miejscach na nogawkach. Następnie kładł na siebie jedną z tak spreparowanych spodni i zadawał sobie kilka ukąszeń w nogę, poczem wchodził tam, gdzie znajdował się pies, i wszczynał gwałt, udając ukąszonego. Oszust zwykle otrzymywał odpowiednie odszkodowanie na kupno nowej pary spodni. Taki sposób zarobkowania popłacał nieźle, lecz nie na długo, bo któryś z tak poszkodowanych właścicieli psów podejrzał całą aferę i poskarżył się policji. W następstwie spisano protokuł, tym razem na niekorzyść „pokąsanego" i wysłano do prokuratora. Na rozprawie sądowej wydano wyrok skazujący na rok więzienia.

— **Waga i wymiary szczeniąt wyżlich.** Z doświadczeń przeprowadzonych ze szczeniętami, a streszczonych w „Łowcu Polskim" za „Wiadomościami Weterynaryjnemi", zanotowano także różne dane cyfrowe, dotyczące wagi i wymiarów poszczególnych członków ciała. Dane te przytaczamy w streszczeniu, zaznaczając, że były to wyżlątka dwumiesięczne. Waga 3 sztuk w gramach wynosiła: 3,220,—2,500 i 3,600.

Największa długość stosu pacierzowego, mierzona taśmą od przedniego otworu przewodu mózgowego kręgu szczytowego do kręgu tylnego ogonowego — wynosiła 943,0 mm, 555,3 mm i 620,5 mm.

Największa długość kręgów szyjnych sięgała — 170 mm, 110 mm i 115 mm.

Największa długość stosu kręgów lędźwiowych — 205 mm, 120 mm i 130 mm.

Największa długość kości krzyżowej — 35,0 mm, 28,3 mm i 30,5 mm.

Najw. długość stosu kręgów ogonowych — 278 mm, 152 mm i 185 mm.

Największa długość czaszki przednia, mierzona poprzez krawędź potylicową i przegrodę pomiędzy dołkami pierwszej pary siekaczy górnych ($I_1 + I_1$) — 188,3 mm, 142,5 mm i 152,8 mm.

Najw. długość tylna tychże czaszek, mierzona od otworu potylicowego (krawędź dolna) do tejże przegrody pierwszej pary siekaczy ($I_1 + I_1$) — 180 mm, 130 mm i 135 mm.

Najw. odległość od zewnętrznej krawędzi potylicowej do wyrostka jarzmowego kości czołowej — 93,5 mm, 84,0 mm i 90,5 mm.

Największa szrokość kości skroniowej mierzona poprzez powierzchnie boczne obu łuków jarzmowych — 103,0 mm, 85,5 mm i 91,0 mm.

Największa szerokość czaszki, mierzona poprzez wierzchołki boczne obu wyrostków jarzmowych kości czołowych — 47,0 mm, 44,3 mm i 41,7 mm.

Najmniejsza szerokość kości czołowej, mierzona po za poprzednimi wyrostkami kości czołowych w miejscu najwęższem — 34,3 mm, 38,5 mm i 39,3 mm.

— **Wypadek w zwierzyńcu.** — W ogrodzie zoologicznym w Mannheimie, w Niemczech, 3-letni niedźwiedź napadł na dozorcę oczyszczającego klatki, i jednem uderzeniem łapy oskalpował go. Dopiero policja strzałami zabiła niedźwiedzia; dozorca zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Bibljografja Łowiecka.

— **Dla bibljofilów — myśliwych.** Są do sprzedania roczniki oprawne „Jeźdzca i Myśliwego" z lat 1897, 1898, 1899 i 1907. Nie znając ich ceny, prosimy o oferty z oznaczeniem, ile reflektant za nie ofiaruje. Oferty przyjmuje redakcja „Łowca Polskiego".

— **„Myślistwo w Szwajcarji".** — Redaktor niemieckiego czasopisma łowieckiego w Szwajcarji p. t. „Schweizer Jaeger", p. O. v. Steiger opracował i wydrukował specjalną broszurę poświęconą sprawom myśliwskim, szwajcarskim. Autor jest znanym myśliwym i badaczem tych stosunków. Broszura zawiera dane historyczne, podaje czasy ochronne, szczegóły dotyczące opieki nad zwierzyną i zajmujący opis licznych gatunków zwierzyny szwajcarskiej w różnorodnych warunkach klimatycznych, na różnych wyżynach górskich z odmienną wegetacją roślinności. Następnie podano opisy polowań z psami. W Szwajcarji oprócz Parku Narodowego istnieje 175 rewirów łącznego obszaru 4000 kilometrów kwadratowych, gdzie polowanie, albo jest całkowicie zabronione, albo jedynie na pewne gatunki. W rewirach tych co 5 lat odnawia się rozporządzenie, ograniczające polowanie.

Wiadomości handlowe.

— **Futra na zimę.** — Tegoroczna moda futer, szczególnie damskich, nie uległa zbytnim wahaniom. Krój dominuje przedewszystkiem angielski, prosty, niewyszukany i pozbawiony niepotrzebnych fantazyj. Co do modnych gatunków futer, to na pierwszem miejscu pozostają karakuły oraz łapki karakułowe, dalej foki prawdziwe, także imitacje fok, źrebaki w różnych odcieniach mają dziś również wielkie wzięcie, a wreszcie piszczaniki. Również klijentela stale zapytuje o norki, srebrne lisy i skunksy, które są obecnie tak bardzo modne na Zachodzie.

— **Unja hodowców zwierząt futerkowych.** — Organ zrzeszonych tych hodowców w Polsce, informuje m in., że zrzeszenie to zostało przyjęte do takiejże Unji Międzynarodowej. Delegatami polskimi do Unji są pp.: Bronisław Paruszewski i Feliks Sobczyński. Przystąpienie Polski do Unji daje korzyści hodow-

com polskim przez jednolite licencjowanie materjału hodowlanego. Materjał wychowany w Polsce na fermach, należących do Związku, będzie tem samem wprowadzony na równi z innemi państwami na rynki międzynarodowe.

PIERWSZY SAMOCHÓD W PUSTYNI KALAHARI.

Pustynia Kalahari w Afryce Południowej została ostatnio zwyciężona po raz pierwszy.

Pustynia Kalahari, której szerokość wynosi przeszło 1000 klm., należy do tego typu pustyń, których przebycie przedstawia ogromne trudności. Pustynia zaś Kalahari przedstawia sobą istny ocean lotnego piasku, w którym zwierzęta grzęzną po kolana, a wozy po osie, jeżeli tylko zatrzymają się chociażby na małą chwilę.

Komunikacja przez pustynię Kalahari odbywa się przeważnie na osłach lub wołach. Przebycie w ten sposób pustyni zabiera od 5 do 6 tygodni czasu.

Dwóch śmiałków — pp. Donald Bain i Willfred Cassere, przedstawiciele General Motors South African Ltd., postanowili przebyć Kalahari w samochodzie, mimo że do tej pory nikt takiego przedsięwzięcia nie ryzykował i że doświadczeni automobiliści odradzali im stanowczo tego ryzyka, dowodząc, że żaden samochód nie przebrnie przez piaski pustyni, ciągnące się setki kilometrów, ponieważ trzeba będzie jechać stale na pierwszym i drugim biegu, czego żaden motor nie wytrzyma, a jeżeli i wytrzyma, to przedtem wskutek wielkiego gorąca, wytopią się wszystkie panewki.

Postanowienie dwóch śmiałków zostało wkrótce zrealizowane. Wybrali oni jako swego dromadera samochód marki Oldsmobile, zabrali odpowiednią ilość konserw, wody do picia, duży ładunek benzyny, opony zapasowe, najgłówniejsze części zamienne i tak zaopatrzeni, wyruszyli w drogę z miejscowości Windhoek przez sam środek pustyni.

Pierwsze 150 klm. nie przedstawiały zbyt wielkich trudności komunikacyjnych. Odległość pomiędzy Gobabais a Ghanzi, wynoszącą około 300 klm., przebyto dość łatwo, mimo że trzeba było przedzierać się przez pustynne zarośla.

Pierwszą ekspedycję samochodową spotkało w Ghanzi pięciu białych oraz tłumy buszmenów.

Po przebyciu około 600 klm. uciążliwej drogi, podróżnicy nasi spostrzegli, że dno skrzynki z prowjantem zostało uszkodzone i większość zapasów zgubiono po drodze. Zgubiono wszystką herbatę i kawę tak, że pozostały tylko konserwy mięsne.

Każde zatrzymanie samochodu powodowało zapadanie się w piasek po osie, wobec czego unikano wedle możliwości, wszelkich postojów na lotnych piaskach.

Na całej przestrzeni, wynoszącej przeszło 600 klm., nie spotkano ani jednego źródła lub rzeczułki. Gdyby chłodnica nie wytrzymała tej przeprawy, to trudno przewidzieć, jakby śmiałkowie nasi dali sobie radę. Na szczęście samochód dopisywał pod każdym względem. Motor pracował normalnie, mimo niezwykle wysokiej temperatury.

Po sześciu dniach podróżnicy nasi dotarli do Johannesburga, miasta, położonego na przeciwległym krańcu pustyni, odległym od Windhoek przeszło o 1000 kilometrów.

Podczas całej podróży zmieniono tylko dwie opony, które „nawaliły" na kolczastych krzewach pustynnych. Obdrapana karoserja świadczyła, w jakich warunkach odbywała się podróż.

W Johannesburgu Oldsmobile został poddany bardzo szczegółowej inspekcji, która stwierdziła, że mechanizm wozu znajduje się w normalnym stanie.

Wyczyn Blain'a i Cassere'a jest najwymowniejszym dowodem, że niema dzisiaj złych dróg dla nowoczesnego samochodu.



Jaki jest powód, że **bażanty** młode **napadają jedne na drugie** i zabijają przeważnie samca, poczem wydziobują wnętrzności? Co może być za przyczyna i jak temu zaradzić? — **I. Malinowski,** Modzele.

— **Odpowiedź.** — Wzajemne dziobanie się młodych bażantów daje się zauważyć u bażantów zamkniętych w woljerach, u bażantów będących na wolności jest to objaw niezmiernie rzadki.

Młode bażanty w końcu września i początkach października dostają właściwego opierzenia, skutkiem czego pióra, tak zwane pałki, w ogonie i skrzydłach wypełnione są początkowo krwią. O ile bażanty zamknięte są w woljerach, zdarza się często, że z nudów jeden drugiego dziobnie, przy której to okazji krew zaczyna się wydostawać z pióra na zewnątrz. Na widok krwi bażanty wpadają wówczas wprost w szał jakiś wzajemnego skubania się, daltego, że im krew najwidoczniej smakuje. Nie ograniczają się już wówczas do skubania piór, lecz ranią się do tego stopnia poważnie, że często kończy się to śmiercią, gdyż rany sięgają nawet do wnętrzności.

Z reguły zatem młodych bażantów nie można zamykać w woljerach przed całkowitem opierzeniem t. j. przed 1-ym listopada, gdy pióra są już całkowicie wewnątrz pozbawione krwi. Bażanty pokaleczone należy wypuścić niezwłocznie na pewien czas z woljer po uprzedniem zdezynfekowaniu ran jodyną lub ewentualnem posmarowaniu mieszaniną pół na pół czystej, nicejskiej oliwy z ekstraktem ołowiu, który zabliźnia i goi rany bardzo szybko. Fakt, że atakowane są przedewszystkiem koguty, objaśnia się tem, że „pałki" w ogonie kogutów są większe i zawierają więcej krwi, niżeli w ogonach kur. — **S. K.**

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia po 10 gr. za wyraz; grube litery — po 20 gr. najmniejsze — 2 zł. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

Żubr a ryś.

W opisie swej podróży po Europie Z. Kleszczyński żartuje w „Kurjerze Warszawskim" na temat „zagranicznej" znajomości Polski, pisząc między innemi:

„Żubr jest, uważa pan, wegeterjanin, a ryś raczej mięsożerny... Pozatem, żubr jest odrobinkę większy i ma rogi, a ryś jest czut-czut mniejszy i drapie się na drzewa...

— Ale oba gatunki zwierza są bardzo dzikie?

— Pytanie!!!

— Rysia pan już kiedy zabił?

— Zabiłem 36 sztuk.

— Oho... A były przytem ofiary w ludziach?

— Były. Trzech gajowych rysie żywcem rozszarpały, jeden (gajowy), uciekając przed rysiem, dostał pomieszania zmysłów... Mojego znajomego, hrabiego Vladimira Kastagnetto, męża słynnej polskiej aktorki Baschibouzuki, ryś pokiereszował wzdłuż i wszerz...

— Ja sam pewnej nocy, zasadziwszy się na rysia z rohatyną, znalazłem się w śmiertelnem niebezpieczeństwie, bo spotkały mnie trzy rzeczy naraz: w korzeniach sykomoru, pod którym stałem, była żmija, na grubym konarze czaił się ryś, a z krzaka zaszarżował na mnie dziki odyniec!"

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.